

Polskie kino niechciane

Przez tydzień Łagów był jedynym miejscem w Polsce, gdzie można było obejrzeć filmy polskie. Przegląd pod hasłem Lubuskie Lato Filmowe początkowo, przed dwudziestu laty, funkcjonujący na prawach krajowego festiwalu, potem zdystansowany przez Gdańsk, przetrwał jako impreza typu seminarijnego. Skromniejsza, ale wartościowa, tym bardziej może nawet, że nie obliczona na spektakularny efekt. A tę wartość podtrzymuje także jej publiczność. Do Łagowa ściągają bowiem nałogowi kinomani, którzy bez względu na warunki projekcji potrafią wytrzymać najcięższe seanse filmowe.

Niestety, termin „uciążliwy” pasuje jak ulał do znacznej części produkcji rodzimej, którą w Łagowie reprezentowało kilkanaście filmów, w tym dziesięć najnowszych, przedtem publicznie nie pokazywanych. Z największą też przykrością wypada uznać argumentację dystrybutorów, którzy dla wienutworów nie widzą szans ekranowych. Prawda jest brutalna: polskie kino straciło wdech, słuch i umiejętność rozeznania rzeczywistości. Czy jednak rzeczywiście ją straciło, czy raczej nie miało możliwości przystosowania się do warunków w miarę bliskich normie światowej? Od lat nawykłe do występowania „przeciw”, potrafiło wypracować mechanizmy obrony i protestu, wyrażane przeważnie w aluzyjnej, zawołowanej formie. Polityczny kontekst z reguły górował nad anegdotą, racja publicystyczna przysłała kreację. Zdarzały się wyjątki wysokiej klasy artystycznej, które jednak reguły zweryfikować nie mogły.

Tracąc przed dwoma laty przeciwnika politycznego, polskie kino wydawało się cokolwiek zdezorientowane. Gdy zyskało, co obecnie już nie ulega wątpliwości, nowego przeciwnika w postaci wolnego rynku — okazało się bezradne. Nie potrafiło bowiem (nie miało kiedy?) wypracować tych niezbędnych zawodowo mechanizmów, jak profesjonalny scenarzysta, logiczny i precyzyjny

sposób opowiadania, charakterystyczność postaci i będące jej konsekwencją poprowadzenie aktora, a więc cech, które nie muszą gwarantować międzynarodowego sukcesu, zapewniają natomiast życzliwość widzowi.

Tymczasem widz nierzadko zniecierpliwiony ma ochotę zapytać, co autor miał na myśli, o czym naprawdę traktuje utwór i do kogo jest adresowany. Bez pomocy scenarzysty natomiast jest odczytać metaforę (?) telewizyjnego zniewolenia wyrażoną przez Roberta Glińskiego w „Superwizji”. Prawdopodobnie i scenarzysta niewiele by pomógł w wyjaśnieniu autorskiego przesłania „Kanalii” Tomasza Wiszniewskiego — pogmatwanej historii młodego bojowca z początku wieku, w której odzyskują się motywy kata i ofiary, archetypy księcia Konstantego, reminiscencje z Dostojewskiego i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze. Kanalią autentyczną czasu teraźniejszego jest bohater „Śmierci dzieciaroba” Wojciecha Nowaka z całkowicie niejasnym zamysłem autora, który amoralnego cwaniaka winduje do roli tytułowej.

Ale i niezupełnie klarowna jest artystyczna intencja Piotra Szulkina, który odchodząc od katastroficznych wizji cywilizacyjnych nawijając w „Femimie” do Bunuelowskiej „Piękności dnia”, przy czym każe nam wierzyć, że nagle (po wyjeździe męża) obudzonymi potrzebami erotycznymi bohaterki sterują jej wspomnienia z okresu dojrzewania w epoce stalinowskiej. Film Szulkina, sytuuje się w grupie utworów, usiłujących oddać temperaturę, nastroje, oczekiwania i psychiczne reminiscencje czasu teraźniejszego. Nie udaje to się Rolandowi Rowickiemu, który w „Obywatelu świata”, wrzucając do jednego worka wszystkie polskie kompleksy na temat Zachodu, nie potrafił w sposób wiarygodny przeciwstawić im bodaj jednej wartości, choćby tej, która każe bohaterowi pozostać w kraju. Natomiast u Feliksa Falka w „Końcu gry” właśnie starannie poprowadzona obserwacja psychologiczna bohaterów pozwala

wyrazić jakąś cząstkę współczesności w doświadczeniu jednostkowym.

Współczesność można wyrazić przewrotnie, dramatycznie, lub zyczajnie, choć z sensacyjną akcentacją. Tak właśnie postępuje Sławomir Kryński, odnosząc sukces, na razie na miarę Łagowa. „Dziecko szczęścia”, rzecz o perypetiach młodej pary z wykradzionym niemowlakiem, opowiedziana prosto, rzetelnie, bawi i może wzruszyć, wydaje się filmem najbliższym kina średka, a więc łączącym ambicje artystyczne z wymaganiami popularności.

Filmu popularnego na solidnym poziomie, który nie byłby prostą kopią kina amerykańskiego, prawie, z wyjątkiem (Machulski) nie mieliśmy. Jeśli się teraz nawet ukształtuje, to jeszcze nie znaczy, że polska kinematografia wyjdzie z koziego rogu, w jaki zapędziła ją nie tylko bezradność twórców, lecz również nowa sytuacja ekonomiczna. Coś jednak musiało pozostać z dorobku tamtych czterdziestu lat, co warte jest kontynuacji. Nowocześnie, uniwersalnie, ale po polsku, z myślą i z ducha.

Największy zawód sprawiło w Łagowie odwołanie projekcji filmu Krzysztofa Kieślowskiego „Podwójne życie Weroniki”. Taka była podobno decyzja reżysera umotywowana niedostatecznymi warunkami technicznymi miejscowego kina. A może jednak tej właśnie widowni bez względu na cokolwiek (ileż to kin w Polsce ma aparaturę Dolby stereo?) należało pokazać „Weronikę”, ten piękny, choć może incydentalny promyk nadziei, że polska sztuka filmowa nie przepadła doszczętnie.

MAŁGORZATA DIPONT

Na barana nie zasłużyliśmy

Stanowczo nie zgadzam się z opinią, że tegoroczne Lubuskie Lato Filmowe było nieudane. To prawda, że tradycyjnego barana na pożealnym ognisku zastąpiły popolite kiełbaski, pogoda była średnia, a do tego pani Mariolka nie dojechała, co na pewno obniżyło rangę imprezy, ale nawet nieco mniej atrakcyjny niż zwykle Łagów pozostaje i tak najsympatyczniejszym festiwalem filmowym w Polsce.

Nie tylko ze względu na miejsce, choć jest ono znakomite. Łagów, miasteczko wśród lasów i jezior ozdobiono zamkiem joannitów i restauracją „Basztowa” imienia Jana Himilbacha. Również dlatego, że jest to najstarszy i chyba najprawdziej z przeglądów polskich filmów fabularnych. W tym roku nie tylko polskich. Organizatorzy od kilku lat stopniowo rozszerzają program wprowadzając do konkursu również filmy z krajów Europy Środkowej i Wschodniej. Dzięki temu jury miało szansę przyznać główną nagrodę filmowi węgierskiemu („Strzelnica” Arpada Sopsitsa) protestując tym aktem rozpaczy przeciwko poziomowi rodzimej produkcji. Protest został przyjęty z ogólnym zrozumieniem.

Festiwal to jednak nie tylko filmy. Na szczęście. Więc krótko: najelegantszym mężczyzną Łagowa był tradycyjnie już Jerzy Kalina. Bezskutecznie próbował z nim konkurować przewodniczący Komitetu Kinematografii, minister Dąbrowski.

Najbardziej zatroskanym uczestnikiem festiwalu był Michał Lorenc, czekający w każdej chwili interwencji agentów Urzędu Antymonopolowego. Powód do obaw był — Lorenc skomponował muzykę do polowy z prezentowanych tu filmów, a proporcje mogły być jeszcze bardziej kompromitujące, gdyby kilka zapowiadanych wcześniej tytułów dotarło na czas do Łagowa. Michał Lorenc to dzisiaj bez wątplenia najbardziej szanowaną instytucją polskiego kina.

Najbardziej filmową sytuacją był start helikoptera, którym odfrunął z Łagowa minister Dąbrowski.

Największym skandalem było wycofanie się z przedfestiwalowych ustaleń producenta filmu „Podwójne życie Weroniki” i odmowa udostępnienia go festiwalowej publiczności. Podobno ze względu na brak odpowiednich warunków technicznych w łagowskim kinie. Pryncypały Andrzej Werner nazwał to skandalicznym lekceważeniem widza. Słusznie!

Było kilku mocnych kandydatów do miana najgorszego filmu festiwalu. Szybko jednak na ożoło wystorowało się dwóch zdecydowanych liderów: „Superwizja” Roberta Glińskiego i „Obywatel świata” Rolanda Rowińskiego. Osobiście jestem gorącym zwolennikiem filmu Rowińskiego — nudny, prymitywny, ale za to pretensjonalny. Perelka.

Próbując pisać o najlepszym filmie trzeba zmienić tonację. O filmie Lomnickiego żartować nie sposób. „Jeszcze tylko ten las” to opowiedziana najprostszym środkiem historia żydowskiej dziewczynki, wyprowadzonej z getta przez służącą rodziców, prostą, pazerną kobiecinę, która rośnie w trakcie wspólnej drogi ku nieuchronnej śmierci. Rośnie najpiękniej. Wielka rola Ryszarda Hanin. Znakoimity scenarzysta i dialogi Anny Strońskiej. Uczeń w piśmie (filmowym) twierdził wprawdzie, że film ma istotne braki warsztatowe (zdjęcia, scenografia). Możliwe, nie wiem. Byłem zbyt wstrząśnięty, by móc to zauważyć.

Ten film od roku bezskutecznie czeka na rozpowszechnianie.

Podobał mi się również powstały na bazie znakomitej prozy Madeja film Piotra Łazarkiewicza „W środku Europy” również opowiada o styku różnych kultur, o sile ksenofobii. Myślę jednak, że w zamysle autorów miała to być opowieść o tajemnicy. A właśnie tajemnicy trochę mi w tym filmie zabrakło. Niemniej to na pewno najlepszy film Łazarkiewicza, ważny film.

Opowieścią o tajemnicy były również „Diabły, diabły” Doroty Kędzierzawskiej. O tajemnicy budzącego się erotyzmu, o fascynacji tajemnicą odmienną kulturę. Poetycki, pięknie fotografowany film z rewelacyjną Justyną Cierny w roli głównej. Moim zdaniem jednak zdecydowanie za długi. Nie wiem, czy znajdzie się dystrybutor na tyle odważny, by podjąć się rozpowszechniania tego filmu.

Stanowczo za długi jest również film Jakuba Kolskiego „Pogrzeb kartofla” to film mający zdecydowanych zwolenników i jeszcze bardziej zdecydowanych wrogów. Uważam, że niemal jedyną wadą tego filmu jest rozwelełość. Bo na pewno jest to film mądry, w przejmujący sposób pokazujący nienawiść zrodzoną z poczucia winy. To również ważny film.

Cztery ważne filmy. Cztery piękne, poetyckie filmy. Zaden z nich nie ma najmniejszych szans na skromniutką choćby widownię. To dobrze, że powstają takie filmy. Ale na Boga! Niech powstają również inne, takie dla zwyczajnego widza, dla mnie! Niektórzy próbują, to prawda. Najczęściej niepotrzebnie.

A tak przyjemnie jest usłyszeć w kinie śmiech. Ten prawdziwy, radostny. A do tego na polskim filmie — kiedy ostatnio dano nam taką szansę? No właśnie. Tym większe brawa dla Sławomira Kryńskiego. „Dziecko szczęścia” to komedia nie tylko z nazwy, nie dość, że zabawna, to jeszcze sprawnie, warto opowiedziana. Pyszności.

Można by wymienić jeszcze kilka filmów nie będących czystą kpiną z widza (na pewno „Kanalii” Tomasza Wiszniewskiego, być może „Kroll” Władysława Pasikowskiego i „Trzy dni bez wyroku” Wojciecha Wójcicka), ale nie zmienię to faktu, że ogólny poziom prezentowanych filmów nie był nawet średni.

tak oto sprawdzili się ponure przepowiednie pesymistów: na pożealnym ognisku barana zabrakło. Niektórzy próbowali tym niemilym faktem obarczyć Balcerowicza. Przyczyna tkwi gdzie indziej, panowie. Spójrzmy prawdzie w oczy: na barana nie zasłużyliśmy, kochani.

ANDRZEJ DZIURAWIEC